



W czereśniowym sadzie

Ten dom powstał ze skąpstwa – śmieje się Barbara. Znaczy to tyle, że o budowie zdecydował rachunek ekonomiczny. Szczęśliwie w ślad za ekonomią przyszły satysfakcje innej natury: poczucie przestrzeni i kameralnego odosobnienia, zadowolenie z obcowania z przyrodą, czasem – zwyczajny święty spokój...

Zawsze lubili mieszkać wysoko. Wygodne czteropokojowe mieszkanie na 17 piętrze zapewniało niesamowite widoki: z jednej strony las, z drugiej Wisła i prawobrzeżna Warszawa, z kolejnej – willowa zabudowa Dolnego Marymontu. Dopóki dzieci były małe, starczało miejsca dla wszystkich. Ale Barbara i Kazimierz są socjologami, nauczycielami akademickimi – dużo pracują w domu. Gdy chłopcy podrośli, cztery pokoje przestały wystarczać; jednego wyraźnie brakowało.

O budowie nie myśleli – Barbarze, wychowanej w przedwojennym domku na Bielanach, wystarczyły wspomnienia remontów i usterek, z jakimi latami borykał się jej tata. Szybko znaleźli więc ponad 100-metrowy apartament w rosnącym niedaleko osiedlu i równie szybko... zrezygnowali. Słona cena za metr kwadratowy surowego betonu z grzejnikami, dopłata za podziemny garaż i monstrualna danina



z idei rozłożystego domu parterowego. Projekt foremnego budynku z poddaszem powstał w biurze nieżyjącego już Jerzego Sokołowskiego, architekta chętnego do współpracy, choć przywiązanego – jak każdy artysta – do własnych koncepcji. *Dochodzenie do kompromisu bywało trudne, tym bardziej, że musieliśmy poszukiwać go także między sobą* – wspomina Barbara, której z racji temperamentu i usposobienia przypadła w negocjacjach rola złego policjanta. Jakiś czas trwały spory o bryłę czy o okna; główna idea, na której szczególnie zależało Kazimierzowi – wnętrza otwarte-

go, dającego przestrzenny oddech – została szczęśliwie zachowana.

Prima aprilis!

Pomysł był prosty: dom buduje pod klucz sprawna firma pod okiem fachowca, a my w tym czasie w spokoju pracujemy i zajmujemy się kreacją pomysłów aranżacyjnych – szukamy tych wszystkich kafelków, podłóg i kranów – wspomina ze śmiechem gospodyni, która jako „zła policjantka” od początku musiała wykazywać stosowną czujność. Dzięki jej uporowi zatrudnili niezależnego inspektora nadzoru, rezygnując z usług specjalisty poleconego przez dewelopera. Także przedłożony im wzór umowy Barbara przesłała do zaopiniowania znajomemu prawnikowi, dzięki czemu w miejsce cyrografu zabezpieczającego wyłącznie interesy wykonawcy udało się podpisać dokument dzielący odpowiedzialność pomiędzy strony znacznie uczciwiej. W szczegółach koncepcja również wyglądała doskonale: inwestycję podzielono na dwa etapy, a słowa „zaliczka”, „zadek” i „przedpłata” starannie wyrugowano ze wspólnego słownika – faktury miały być wystawiane wyłącznie za prace ukończone.

Po lewej – elewacja frontowa. Jabłonka przy oknie jadalni dogorywała przez kilka sezonów. Rok temu, pod groźbą wycięcia, odżyła i zaowocowała, jak nigdy dotąd. Na dolnym zdjęciu tytułowa czereśnia; gdy zapada zmierzch, wśród starych konarów zapala się lampa, a w ogrodzie robi się bajkowo. Oświetlenie sędziwych drzew to pomysł gospodarza



za comiesięczną ochronę składały się na kwotę, za którą z powodzeniem można by kupić wygodny dom, zostając z całkiem sporą sumką na jego wyposażenie.

Niestety, gotowe domy mają to do siebie, że wykreowała je cudza wyobraźnia; trudno znaleźć taki, który spełni potrzeby, marzenia, a do tego zmieści się w budżecie. Meandry poszukiwań zaprowadziły więc rodzinę prosto do własnej działki. Znaleźli ją zimą, na północ od Warszawy, gdy gruba warstwa śniegu miłosiernie maskowała niedoskonałości grząskiej gliniastej drogi dojazdowej. Podkreślała za to niebywale urodę dwóch starych czereśni. Ośnieżone korony ocieniały pół parceli i to one właśnie postawiły kropkę nad „i”.

Rozmiary starego sadu – 900 m² – zmusiły inwestorów do rezygnacji



Przestrzeń parteru zorganizowana jest wokół dużego otwartego kominka (górne zdjęcie na sąsiedniej stronie). Stojąc przed nim, w obniżonym o dwa stopnie salonie, po lewej mamy otwartą kuchnię (choć przeniesiona z bloku, pasuje tu jak ulał) z urządzoną oszczędnie i ze smakiem jadalnią. Schodki na prawo od kominka prowadzą do kameralnej biblioteczki, gdzie można wypić kawę i poczytać, mając oko z jednej strony na drzwi wejściowe, z drugiej – na bujną zieleń ogrodu



Wykonawca zaczął z dużym impetem 1. kwietnia. I może warto było ten szczególny dzień przeczekać... Do czerwca roboty szły jak burza, nie licząc drobnych potknięć i niedoróbek, wychwytywanych na bieżąco przez kompetentnego i uważnego inspektora. W połowie miesiąca Barbara bez obaw zabrała synów na długie wakacje. Gdy wrócili pod koniec lipca, okazało się, że budowa zastężyła, i to – bagatela – na etapie sprzedz urlopu. Deweloper uspokajał, że na pewno zdąży, bo jego kłopoty są przejściowe. Innego zdania był inspektor i to jemu zaufali inwestorzy. Inaczej nie mogli – dom musiał przyjąć ich w swe progi z końcem października; na ten właśnie moment ustalona była wprowadzka ze sprzedanego już mieszkania. Wylali zatem firmę z zachowaniem pełnego ceremoniału, na mocy wcześniejszej umowy. Tym samym na etapie niedokończonej więźby dachowej runęła misterna koncepcja wygodnej i nieabsorbującej budowy „pod klucz”.

W damskich gumofilcach

Na gruzach pierwotnej idei należało szybko zbudować nową koncepcję. A raczej anty koncepcję: proces budowy i nadzoru musiał ulec zmianie. Na dokończenie stanu surowego, ułożenie instalacji i wykończenie wewnątrz pozostały trzy miesiące! Trzeba było wziąć sprawy w swoje ręce. Padło na

Barbarę, która z racji trybu pracy mogła swobodniej manipulować czasem. Co nie znaczy, że miała go dużo. *Każdą wolną chwilę w ciągu dnia poświęcałam organizowaniu ekip i przeczyszczeniu hurtowni, a nocami czytałam o budowaniu* – wspomina. A była jeszcze przecież rodzina: Piotr miał 12 lat, Dawid 7.

Z gąszczu większych i mniejszych problemów szybko wyłoniły się dwa podstawowe. Po pierwsze, sezon dobiegał końca i rynek wykonawczy był kompletnie opustoszały. Po drugie, gdy już udało się kogoś znaleźć, z reguły pojawiała się bariera psychologiczna. Dziś jest już inaczej, ale dekadę wcześniej polski fachowiec był kompletnie nieprzygotowany do kooperacji z inwestorem w spółdnicy: nie zwykł uzgadniać szczegółów z kobietą, wysłuchiwać jej poleceń czy respektować decyzji. Na sakramentalne pytanie: „Kiedy przyjedzie mąż?” Barbara zwykle odpowiadała: „Nigdy, ponieważ budową, na którą mąż zarabia, zajmuję się ja”. Dla robotnika-tradycjonalisty taka odpowiedź była nie do przyjęcia.

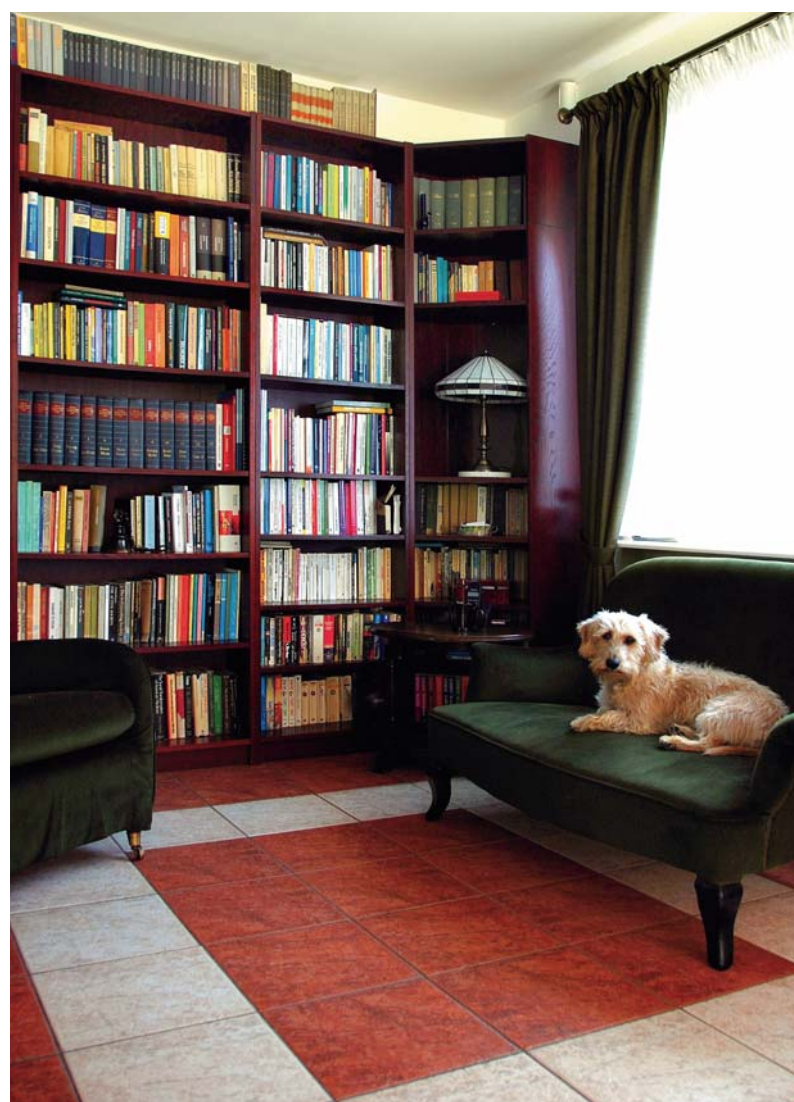
Pozostawał spryt, urok osobisty i maska „słabej kobiety w opresji”; prawdopodobnie to one pozwoliły doprowadzić proces budowy do końca. Na szczęście Barbara coraz częściej spotykała na swojej drodze kobiety: szefowe firm, właścicielki składów budowlanych... Z nimi znacznie łatwiej było dojść do porozumienia.

Kawałek po kawałku

Rozgrzebaną więźbę dokończyli górale, ściągając niemal dosłownie z innego dachu. Pracowali bardzo sprawnie, tyle że kłęli przy tym w żywy kamień partactwo poprzedników i rozrzutność zleceniodawców. *Pani, na co wam taka potęga?* – lamentowali – *Połowę tych słupów to można wywalić, bełteki dać cieńse... A krokwie przeniąć na pół i będzie piknie!* Ale Barbara była nieustępliwa: ma być tak, jak w projekcie! Dzięki temu dach nie ugina się pod naporem ciężkiej dachówki cementowej Braas.

Potem było już dramatyczne sztukowanie i fastrygowanie pod presją czasu. Wspaniały dekarz, obłożony zleceniami na najbliższe dwa lata, został cudem wyłowiony z zakonu, w którym łątał dach – mnisi nie zgromadzili na czas materiałów. *Zadzwoniłam do niego z polecenia znajomych dosłownie w ostatniej chwili* – wspomina Barbara – *Miał właśnie odzywać się do swojego kolejnego „planowego” klienta.*

Dekarz przyjechał obejrzeć więźbę i został. Tyle tylko, że w domu zaplanowano lukarny, które trzeba było otynkować przed wykonaniem blacharskich obróbek dachowych – nowy kłopot. Pod koniec lata o tak drobnej robocie nikt nie chciał nawet słyszeć. Znalazł się w końcu tynkarz, który zgodził się chociaż porozmawiać, zaznaczając, że nic z tego nie będzie, bo i tak czasu nie ma. Na szczęście okazał się



wrażliwcom: ujęło go dramatyczne kobiece wezwanie, poparte malowniczym trzepotem rzęs. Przyjechał i lukarny otynkował, wymuszając tylko na właścicielce umowę gwarantującą, że w kolejnym sezonie zostanie zatrudniony do tynkowania ścian zewnętrznych. Przez rok umowa jednak zwietrzała: gdy przyszedł czas na ściany, tynkarz wykreślił się sianem, czyli – tradycyjnie – brakiem czasu.

Długo nie zabawili na budowie specjaliści układający instalację grzewczą. Ledwie zaczęli, Barbara nakryła ich na spawaniu miedzianych rurek tuż pod gołą krokwią. Wycofywali się w poczuciu niezawinionej

W domu książek jest tyle, że gdyby nawet ktoś bardzo się starał, nie zdołałby ich ukryć. Po prawej – salonik-czytelnia za kominkiem. Pozuje jeden z trójki domowych czworonogów o żeglarskim imieniu Grot, zdradzającym pasję gospodarzy. Do pary ma Foka podobnej maści i uroczą pręgowaną kotkę. Powyżej gabinet pana domu; do małego narożnego biurka z warszawskiego mieszkania stolarz zgrabnie dorobił wygodną resztkę



Kobięca łazienka według projektu pani domu. *Tu powetowałam sobie cały, utracony z braku czasu proces skrupulatnej aranżacji wnętrza* – śmieje się Barbara. I rzeczywiście – powściągliwy gustowny wystrój stworzył prawdziwy przyładek regeneracji. W aranżację twórczo wkomponowano odsonięte elementy więzby dachowej; gospodyni zadbała też o ujmujące detale

krzywdy: co to w końcu komu szkodzi, że się belka trochę osmałi? Na tej budowie nie mieli jednak czego szukać lekceważący zasady bezpieczeństwa ignoranci, i nie tylko oni. „Szefowa” z hukiem zwalniała alkoholików, brakorobów i amatorów permanentnych zaliczek, wiedząc, że wbrew pozorom jest to jedyny sposób na wygranie walki z czasem.

Twarde kryteria przyniosły efekty. Mimo drakońskiego terminu i nieplanowanego przejścia z systemu deweloperskiego na metodę gospodarczą, inwestycję zamknęli z niespełną miesięcznym poślizgiem. Cóż to znaczy w porównaniu z wielomiesięcznymi opóźnieniami, wrośniętymi do głębi w polską normę...

Na czereśnie!

Listopadowe tygodnie wywaterowana rodzina spędziła na walizkach. Barbara z synami przeniosła się do siostry, tworząc w jej mieszkaniu pokaźny „niedometraż”. Kazimierz, nie chcąc pogłębiać problemu

przeludnienia do granic absurdu, zasiedlił dom jako pierwszy honorowy mieszkaniec. Z robotnikami bardziej się mijał, niż widywał, dlatego prowadzone jeszcze w tym czasie prace wykończeniowe nie były dla niego męczące.

W międzyczasie udało się wykończyć pomieszczenia w standardzie przekraczającym oczekiwania. Wszystkie ściany zewnętrzne – trójwarstwowe z betonu komórkowego – wyłożone są od wewnątrz wodoodpornymi płytami gipsowo-kartonowymi. Z podobnych płyt zbudowano też ścianki działowe. Drogo? Niekoniecznie. Wystarczy znaleźć hurtownię gips-kartonów, która właśnie związa manatki, a następnie wykupić niemal całe zapasy magazynowe za pół ceny. *Ta wodoodporność do niczego nie była nam potrzebna, ale same płyty owszem* – śmieje się Barbara

W centrum poddasza, w miejscu planowanego pokoju, pozostawiono otwartą przestrzeń do pracy – trochę egzotyczną, trochę eklektyczną. Oryginalny zestaw mebli to prezent Kazimierza dla żony

– *Tradycyjne tynki schną przecież kilka miesięcy, a nam pozostały dni!* W efekcie ściany są gładkie, a klimat we wnętrzach zdrowy; gips wchłania nadmiar wilgoci, a kiedy słońce zbyt mocno przypieka, chętnie ją oddaje.

Mieszka im się miło. Żalują dwustanowiskowego garażu, który przegrał konkurencję z rekreacyjną częścią ogrodu, a także niespełnionej idei przydomowej oczyszczalni ścieków; jej realizacja wymagała w tamtych latach większego areалу. Cieszą się za to, że uniknęli poważnych budowlanych kataklizmów. Dom jest duży i wygodny – ma ponad 200 m², a teren wokół niego coraz bujniej się zieleni. Do niedawna ogród był polem cichych podchodów: Kazimierz walczył o każdy metr ulubionego trawnika, Barbara w konspiracji dosadzała nowe drzewka i krzewy. Ponieważ większość z nich bardzo ładnie się przyjęła, pani domu uzyskała wreszcie oficjalną zgodę męża na swoją ogrodniczą ekspansję. Oczywiście w granicach przyzwoitości.

Sędziwe czereśnie – sprawczyni całego zamieszania – doczekały emerytury pod troskliwą opieką; pielęgnuje je ogrodnik, który wie, co i kiedy przyciąć, by pozostały jeszcze 10 lat albo dłużej. *Co drugi sezon, gdy obficie owocują, znajomi mają nas serdecznie dość* – opowiada z rozbawieniem Barbara – *Bo wtedy wszystkich zapraszamy „na czereśnie”...* ■

